

Oparta na faktach opowieść o Żydach i chłopcu w trampkach

Dzień ten nie wyróżniał się spośród innych właściwie niczym. Słońce świeci tak jasno, że nawet nie da się na nie spojrzeć. Jak nic będzie ciepło. Jesteśmy na hali TOSIR-u, wczesnym porankiem, gdzieś pomiędzy godziną 8.30 a 8.32. Sala świeci pustkami, w oddali niesie się lament pana portiera. Poproszony przez niego o pomoc, postanawiam ulżyć chłopisku w brudnej robocie, nosząc tym samym ciężkie krzesła, co nie zmienia faktu że potwornie chce się spać. Przez chwilę mam nawet wrażenie, że widzę Matkę Boską z trzema aniołami lub trzy Matki Boskie z aniołem (teolodzy proszeni o pomoc w sprecyzowaniu nabierają wody w usta). Tak czy owak, na godzinę jedenastą wszystko musi być gotowe, nie ma, że boli- Żydzi jadą!

I tak przez kolejnych godzin kilka czekaliśmy z niecierpliwością, pilnie leniuchując na materacach zakupionych pewnie z funduszu europejskiego, oczekując na spóźnionych kolegów, z odległego kraju, zwanego Izraelem.

Wybiła dziesiąta- to już... a, nie, jeszcze nie...

Goście się spóźniają, naciskam na panią żeby coś zrobiła, tłumacząc, że mama pozwoliła mi tylko do trzynastej. Niczym wiatr przed burzą w budynku hali pojawiają się prywatni ochroniarze żydowskiej młodzieży. Czuję, że są już blisko...

Napięcie rośnie. Słyszę krzyk zmęczonej czekaniem pani Lipińskiej. Nagle zrozumiałem, że oczekiwani koledzy przyjechali! Wraz z naszą urodziwą panią fotograf biegnę w kierunku wyjścia ewakuacyjnego, pełniącego aktualnie rolę wejścia, żeby na własne oczy zobaczyć prawdziwego Żyda.

Moją uwagę przykuła ich bezbłędna metoda opuszczania autokaru, jeden po drugim, w równych odstępach, ruchem jednostajnym... swoją drogą przypominało to trochę drażę „Korsarz” (tylko takie, bo zwykle już nie będą) samorzutnie wysypujące się z opakowania. Mniemam, że mają w szkole specjalny przedmiot, coś w rodzaju „techniki masowego opuszczania środków lokomocji”. Tak czy owak chciałem ich policzyć, jednak błędnie zastosowałem wzór skróconego mnożenia, co poskutkowało pomyłką w obliczeniach. „Na oko” było ich około pięćdziesięciu trzech, no może dwustu. Z uwagą przyglądam się każdemu z nich, a czasu mam wiele. Stoją na zewnątrz w bezruchu, podczas gdy ich wynajęci twardziele przeczesują teren, starannie oczyszczając go ze wszelkiego rodzaju zagrożeń, od psich odchodów aż po miny przeciwpiechotne. A teraz wyobraź sobie drogi czytelniku, że od tego momentu do momentu opisywanego przez kolejny akapit mija tak naprawdę 15 minut. A ja stoję i czekam aż wejdą...spokojnie mam czas...

Wchodzą...ale to wcale nie jest takie zwykłe „wchodzą”. Jak na absolwentów szkoły opuszczania środków lokomocji przystało, znowu popisali się umiejętnością przechodzenia przez drzwi. Ale mi to imponuje! Dobra, wracamy do tematu. Wchodzą więc, fala draży przelewa się z „pudełka” do... do hali (?). No nic. Na Sali coraz tłoczniej. Gości wita jakże uprzejmy i miły młodzieniec, ubrany stylowo w trampki, koszulę i spodnie prestiżowej marki, której nazwy nie przytoczę bo mnie zamkną, tudzież autor tego tekstu (ja jestem tylko narratorem wszechwiedzącym). Zająwszy przygotowane dla siebie miejsca, przez kolejne kilka minut skazani będą na wysłuchanie jakiegoś powitania przygotowanego przez wspomnianą wyżej Panią profesor, dźwięk słowiańskiego akcentu i łamanej angielszczyzny nie pozostawia im cienia wątpliwości - jesteśmy w Europie wschodniej.

Koledzy opuszczają trybuny, na których od kilku minut siedzieli,

rozsypując się po sali, podążając nieśmiało w kierunku grupy, do której zostali przydzieleni. Mamy czas dla siebie, możemy podejść, powąchać, trącić, polizać, ugryźć -sprawdzić czy oni też są tacy jak my. W ogólnym założeniu każda grupa ma swój program, rozmawiać mamy np. o swoich zwyczajach, kulturze, rozrywkach; faktem jest jednak, że nikt się tego zbyt rygorystycznie nie trzyma, na sali panuje chaos, każdy robi, co mu się podoba. Poznajemy się nawzajem, niektórzy z uczestników wymieniają się upominkami, inni grają w piłkę, kolejni obgadują pedagogów. Wszystko jest w najlepszym porządku, nie ma aktów nietolerancji, nikt nie przeklina. Ktoś gra na gitarze, ktoś stoi niezręcznie w bezruchu-pewnie nie zna angielskiego, ktoś inny wypytuje Żydów o pracę, licząc na ciekawą „fuchę” za granicą. Wszyscy powoli oswajają się ze sobą nawzajem, dyskutują o różnych tematach, począwszy od sportu, poprzez politykę, i na sporcie znowu skończywszy. Niektórzy robią pamiątkowe fotografie, nagrywają filmy. Nagle spokojną ciszę przerywa głośny rytm muzyki. W ramach przyjaźni polsko-izraelskiej, ci, którzy młodzi i piękni dobierają się w -głównie heteroseksualne- pary taneczne. Cała sala zamienia się w scenę, na której owi młodzieńcy dumnie prezentują swoje `pseudotaneiczne` umiejętności. Tłum bałwochwalców na trybunach klaszcze w dłonie, ci na scenie za to tupią jak stado słoni w okresie godowym. Nie może się rzecz jasna obyć bez błysków fleszy. Pedagogów odpowiedzialnych za całe spotkanie ogarnia uczucie spełnienia. Pobyt na hali powoli dobiega końca. Kolejny przystanek- Zbylitowska Góra.

Dla niewtajemniczonych wspomnę tylko, że w miejscowości o tej nazwie w okresie II wojny, hitlerowcy rozstrzelali tysiące żydowskich braci, tylko dlatego, że mieli inny pigment skóry.

Oprócz gości z Izraela w miejsce owej kaźni jedzie grupa specjalnie wyselekcjonowanych uczniów z tarnowskiego LO. Wśród nich dopatrzeć

można się także dobrze już nam znanych: chłopca w trampkach i uroczej dziewczynki z kamerą obscurą w ręku. Cała grupa zmierza w kierunku pobliskiego pomnika. Izraelici dumnie prezentują swoją narodową flagę, coś przy tym szemrząc i wykrzykując. Jeszcze tylko kilka słów o historii związanej z tym miejscem i możemy dojść do celu. Zza gałęzi drzew wyłania się pomnik, z wykutym obrazem miecza. Widnieje na nim jakiś opis, którego treści aktualnie nie jestem w stanie zacytować. W planach mamy jeszcze tylko krótkie uczczenie pamięci pomordowanych w imię rasistowskiej ideologii. Hymny, jakiś wierszyk, parę słów od opiekunów i właściwie tyle. W atmosferze wzruszenia, we łzach i krzyku rozpacz, żegnamy swoich braci. Wymieniamy się nazwiskami, e-mail'ami , chcemy pozostać w kontakcie. Ktoś po raz ostatni ściska dłoń kolegi, składa życzenia i życzy miłej podróży. We wzruszeniu obiecuje, że na pewno się jeszcze spotkają, choć wie, że widzi się z nim po raz ostatni. Rozstajemy się. Wracamy do domu. Jest tu także chłopiec w trampkach , który jeszcze nie wie, że otrzyma bojowe zadanie opisanie tego wszystkiego w możliwie ciekawy sposób...

Konrad Kudłacz, klasa 1b